

## *Wyścig marzeń*

- Cóż za wspaniały dzień! – wykrzyknął Fryderyk Chopin, otwierając okiennice w swoim pokoju w dworku w Szafarni, dokąd przyjechał odpocząć po trudach roku szkolnego 1823/1824.

Ukończył już bowiem czwartą klasę Liceum Warszawskiego i znalazł się nawet na liście uczniów celujących i nagrodzonych. Należał mu się więc odpoczynek. Już drugi miesiąc przebywał na wakacjach u swojego przyjaciela szkolnego Dominika Dziewanowskiego, zwanego przez wszystkich Domusiem. Był on synem właściciela dworku w Szafarni, Juliusza Dziewanowskiego i mieszkał tuż za ścianą Fryckowej sypialni, ale śpioch był z niego okrutny. Frycka natomiast budziły pierwsze promienie słońca. Rad pięknej pogodzie wychodził na długie przechadzki, z których często przynosił nowiny: o tym, że kot zakradł się do garderoby i stłukł butelkę wody z sokiem (na szczęście wybrał najmniejszą), o tym, że suka złapała w borze kuropatwę, o tym, że w oborze trzy służące się pobiły i to czym? Węborkiem i skopkiem!!! O tych i innych równie fascynujących rzeczach opowiadał później swoim opiekunom podczas śniadania, zabawiając ich anegdotkami, bo humor mu zawsze dopisywał i chętny był rozweselić wszystkich domowników.

Dziś również skoro tylko się ubrał, przemył oczy wodą z dzbana, wypił swoją poranną porcję kawy żołądziejowej, ruszył na wieś, nie zważając, że trawa mokra i że mgła snuje się jeszcze po polach. Ale on te przechadzki uwielbiał. W ten sierpniowy poranek wszędzie było jeszcze cicho, bydło zamknięte w oborach spało, koguty jeszcze się nie pobudziły. Ale on tej ciszy nie słyszał. Jemu wszystko grało. Brzęczały owady, krople rosy kapwały na suchą ziemię, wybijając rytm, liście szeleściły, a wiatr śpiewał w drzewach. To wszystko układało mu się w melodię, którą potem przynosił w sobie do domu, siadał przed fortepianem i grał.

Ale nie zawsze miał na to czas. Czasem dzień obfitował w tyle wydarzeń, że nie dane mu było usiąść do fortepianu, tym bardziej cenił te samotne poranki.

Tak też było tego dnia. Po przechadzce udał się do pokoju stołowego na śniadanie. Tam zjadłszy swoje ukochane bułeczki, chciał już udać się na poranne ćwiczenia fortepianowe, ale zatrzymała go panna Ludwika.

- Och, mój drogi Frycku, czyś ty o czymś nie zapomniał?

- Ja? – odezwał się zdziwiony. – Czy ja o czymś nie zapomniałem? – na głos zastanawiał się Frycek, choć myślami siedział już przy fortepianie.

- No przecież obiecałeś mi coś!

- Ja? – powtórzył zmieszany Frycek.

- Oj, panie Pichon, dobra, ale krótka pamięć u panicza. Dzisiaj miała się odbywać kolejna lekcja nauki jazdy na koniu.

- O, nie!!! – jęknął Frycek. – Naprawdę coś takiego obiecałem.

- Już się proszę nie wykręcać, tylko przebrać się w strój do konnej jazdy i idziemy do stajni. Tam czeka na nas już Jan.

Wykonał, co poleciła mu panna Ludwika i ze zwieszoną głową, niezbyt chętnie udał się do stajni. Najpierw trzeba było dosiąść konia. A taki był wysoki! Nieporadny Frycek wdrapał się jakoś na niego, przy małej pomocy niezastąpionego Jana.

- Ha! – krzyknął uradowany. - Cieszę się, że umiem już trzymać się w siodle. Co prawda siedzę jak małpa na niedźwiedziu, ale nie siadam już odwrotnie, podziwiając zad konia. Choć wcześniej mi się to zdarzało.

- Ach, co panicz mówi. Panicz już się w siodle niezłe trzyma. Patrzeć tylko, jak niedługo będzie przez płoty sadił – zapewniał go Jan.

- Chciałbym, żeby tak było! Ale na razie satysfakcjonuje mnie to, że jeszcze nie spadłem, choć to pewnie tylko zasługa konia, że zrzucić mnie nie zechciał. Ale jeżeli mu się spodoba, to kto wie, dlatego muszę być dla niego niezwykle grzeczny.

I ruszyli na lekcję. Najpierw Frycek pojeździł na lonży stępa, potem przeszedł do kłusa. Gdy już nasz jeździec rozgrzał się i dość dobrze trzymał się w siodle, panna Ludwika zarządziła małe wyścigi. Na drodze ustawiła metę. W wyścigu mieli brać udział Frycek na koniu Kary oraz panna Ludwika. Zbiegli się wszyscy domownicy, nawet z domu wyszedł jeszcze zaspany Domus.

I ruszyli. Panna Ludwika wyprzedzała Fryderyka, lecz on nie dawał za wygraną, starał się ją dogonić. Spinał konia ze wszystkich sił, prosił go i obiecywał smakołyki. I w końcu mu się to udało. Tuż przed metą wyprzedził rywalkę. Tyle tylko, że panna Ludwika szła drogą, zaś Frycek na koniu jechał. A tak „śmigał”, że ledwo zdążył panią Ludwikę wyprzedzić.

- Ten koń jakiś leniwy mi się trafił! – tłumaczył się. - Wcale iść nie chciał, odwracał się, trawkę skubał. Tak mi kiepsko poszło, bo na dodatek kuzyni brzęczący znowu mnie zaatakowali, dobrze chociaż, że oszczędzili mój nos, który i tak już jest wielki.

- Och, nie przejmuj się, Frycku, następnym razem będzie lepiej.

- Jestem bardzo szczęśliwy, że pani jest w takiej dobrej formie, ale dawałem pani fory!

- Tak, tak, na pewno – roześmiała się panna Ludwika, wiedząc, jak kto jest z tą jazdą Frycka.

Po zakończonym wyścigu zsiadł z konia z wielkim trudem i ogromnie zmęczony lekcją i emocjami związanymi z rywalizacją bez zwłoki powłókł się do domu. Tam udał się do kuchni, gdzie poprosił o coś do picia. Otrzymał to co zawsze, czyli cały dzbanek kawy żołądziej. Fryderyk, chociaż nie przepadał za nią, to się jej napił, a ponieważ był tak spragniony, wypił wszystko duszkiem. Na stoliku zauważył również świeżo upieczone bułeczki. Wiedział, że takie pieczywo nie jest zbyt zdrowe, ale od bułeczek płynął taki zapach, że nie mógł się powstrzymać. Wziął jedną, a potem następną i następną. Zjadł ich tyle, że na talerzu została jedna bułeczka. Schował ją do kieszeni, a talerz odstawił do spiżarni.

- A niech mnie! Ale ze mnie łakomczuch! To się musi źle skończyć!

I tak też się stało.

- Fryderyku, czy widziałeś gdzieś talerz z bułeczkami? Przygotowałam je na kolację – spytała kucharka Michałowa.

- Bułeczki? Jakie bułeczki? Ja tu tylko piję kawę żołądziejową.

Zaniepokojony Fryderyk, który schował ostatnią bułkę, poczuł się fatalnie. Wiedział, że nie wolno tak kłamać.

- Wieczorem muszę iść na mszę i się wyświadczyć.

Nie chciał jeść tej ostatniej bułeczki, poszedł więc do stajni, do konia, by go trochę przekonać do siebie. Dał mu bułeczkę. Koń zjadł, ale nie obdarzył Frycka łaskawszym spojrzeniem.

Pod wieczór Frycek poprosił Jana, aby zawiózł go powozem do kościoła, bo jak na jeden dzień miał dosyć konnej jazdy. A kościół był niedaleko, bo w Płonnem. Tam wziął udział we mszy świętej, wyświadczył się, obiecując poprawę i z lekkim już sercem udał się w drogę powrotną. Lecz ten dzień nie miał się tak szybko zakończyć. Wieczór był taki piękny, że Fryderyk poprosił woźnicę, by zawiózł go jeszcze w poblize góry, na której rosły wspaniałe modrzewie. Fryderyk lubił tam przychodzić, siadać na przewróconym pniu i rozmyślać. Często zaglądał tu z książką bądź z kajetem, w którym zapisywał swoje myśli i pisał zabawne historyjki. Potem wysyłał je w formie gazety „Kurier Szafarski” do rodziców. Tu czuł spokój i dostojeństwo drzew, które przeżyły już kilkaset lat. Ale tym razem nie zaznał tu spokoju. Gdy tylko wszedł na górę, poczuł skurcz żołądka.

- Oho, to bułeczki dają o sobie znać – pomyślał z rozbawieniem. Szybko zbiegł ze wzgórza do powozu, by udać się w drogę powrotną.

Ale wieczorem już mu nie było do śmiechu. Zaczął go boleć brzuch tak mocno, że kucharka Michałowa musiała mu naparzyć ziółek. Panna Ludwika, która sprawowała opiekę nad Fryckiem, zastanawiała się nawet, czy nie wezwać lekarza. Wtedy też przyznał się obu paniom, co zrobił i bardzo przeprosił. Panna Ludwika siedziała przy gorączkującym Frycku, pocieszając

go, że nazajutrz na pewno będzie zdrow i będzie mógł wziąć udział w kolejnej lekcji jazdy konnej. Frycek stwierdził, że ten dzień to pasmo nieszczęść, ale obiecał panie Ludwice, że jak tylko będzie się dobrze czuł to z ochotą pojeździ na koniu, byle tylko ten brzuch już go tak nie bolał. Zmęczony gorączką i boleściami zasnął.

Nazajutrz obudził się skoro świt. Delikatnie sprawdził stan swojego zdrowia, pomacał się po brzuchu, sprawdził czoło. Gdy stwierdził, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, ochoczo wstał, przygotował się do wyjścia i ruszył do stajni.

- Dzisiaj będę trenował tak długo, aż opanuję tę trudną sztukę jazdy konnej.

Poprosił Jana, by ten osiodłał mu konia i dał wskazówki, jak dobrze jeździć. Jan cierpliwie tłumaczył Fryckowi, jak poprawnie trzymać się w siodle i jak kierować koniem, by ten go słuchał.

- Pamiętaj, żeby do konia nie podchodzić nigdy od tyłu. Koń jest zwierzęciem płochliwym i mógłby cię kopnąć. Musisz być cierpliwy.

Gdy już Frycek dosiadł wierzchowca, padały komendy:

- Zbierz wodze! Plecy proste! Patrz przed siebie! Pięty w dół!

Fryderyk z cierpliwością wykonywał wszystkie polecenia, starał się bardzo.

Nagle z dworu dał się słyszeć głos:

- Frycek, Frycek! Gdzie jesteś? Śniadanie na stole!

Chłopiec podziękował pięknie za lekcje i pobiegł co sił w nogach do jadalni. Tu został zatrzymany przez pannę Ludwikę surowym wzrokiem, bo zapomniał, że najpierw należy się przebrać i umyć. Gotowy do śniadania zszedł na dół i zajął miejsce przy stole. Podczas posiłku, chcąc pochwalić się nowymi umiejętnościami, zaprosił na przejażdżkę pannę Ludwikę oraz Domusia, który w siodle trzymał się jak wytrawny jeździec, bo zżyty był z końmi od dziecka. Ci zgodzili się chętnie i wszyscy po śniadaniu wyruszyli. Jazda była cudowna. Pogoda sprzyjała przejażdżkom, nie było za gorąco, wiatr delikatnie chłodził, a drogi po deszczu się nie kurzyły. Pojechali aż do Sokołowa, potem przez Dulsk i Bocheniec wrócili do Szafarni. Trasa była długa, ale niezwykle malownicza. Panna Ludwika zadowolona z postępów Frycka powiedziała po powrocie do domu:

- No mój drogi. Widzę, że jesteś bardzo uparty. Jak sobie coś postanowisz, to na pewno to osiągniesz. To dobrze wróży na przyszłość. Świat stoi przed tobą otworem.

Frycek szczęśliwy z pochwał, pełen emocji i wrażeń, usiadł wieczorem do fortepianu i popłynęły melodie, z jednej strony pełne wzruszeń, słońca i wiatru na polach, tęsknoty, a z drugiej pełne werwy, pasji i mocy, jakby cały czas galopował po polach. Bo taka była muzyka Chopina – oddawała to, co mu w duszy grało.